

Komunikaty

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” Uniwersytetu Wrocławskiego

WROCLAW, 18. VI. 1981 r.

KIERUNKI ZAGROZEŃ

Czy spokój długo się utrzyma? Obecna sytuacja, niestety, ma wiele cech tymczasowości. Pomijając względy ogólnopolityczne, związane przede wszystkim ze zbliżającym się zjazdem partii, zasygnalizujemy istniejące sytuacje konfliktowe. Jest ich sporo, nie tylko zresztą na odcinku państwo - NSZZ "Solidarność", i właściwie każda z nich rozwinąć się może w poważny konflikt społeczny.

1. Sprawa bydgoska. Zgodnie z zawartym w Warszawie porozumieniem Związek ma prawo domagać się ukarania winnych bydgoskiego incydentu. Ujawniona niechęć władz do wywiązania się z tego akurat punktu umowy może doprowadzić bądź do konfliktu ze Związkiem, bądź, w wypadku jego ustępliwości, do silnych w nim tarć wewnętrznych. Władze niewiele skorzystałyby na skłóceniu Związku, gdyż rywalizacja w nim różnych grup przyniosłaby w efekcie usztywnienie stanowiska "Solidarności" we wszystkich kwestiach spornych.

2. Sprawa umów z branżowcami. Jak wiadomo Krajowa Komisja Porozumiewawcza podjęła uchwałę domagającą się cofnięcia umów płacowych, podpisanych niedawno po akcji protestacyjnej branżowców. Uprzednio Związek nasz zawiesił realizację całego pakietu zawartych w swoim czasie umów płacowych, nie chcąc komplikować i tak bardzo trudnej sytuacji gospodarczej kraju. Jeśli władze nie wycofają się z podjętych ostatnio wobec branżowców zobowiązań, pakiet ten nieuchronnie zostanie puszczony w ruch. Nieuchronnie, gdyż w tym wypadku pole manewru Związku jest żadne. Jeśli władze starały się dowieść, że związki branżowe lepiej, skuteczniej, bronią interesów swoich członków, "Solidarność" będzie musiała - aby nie stracić wiarygodności - dowieść, że tak nie jest. Koszty takich rozgrywek spadną na cały kraj - dobrze, że przynajmniej będziemy wiedzieć, kto je rozpoczął.

3. Sprawa poligrafii związkowej. Szereg wypowiedzi na ostatnim plenum, nie wyłączając końcowej uchwały, sygnalizuje chęć położenia ręki na wydawanych przez Związek biuletynach. Nie twierdzimy w tym miejscu, że

w każdym wypadku ich treść jest bez zarzutu, istnieje natomiast - co z całą mocą podkreślamy - możliwość uregulowania spraw spornych we współpracy z instancjami Związku. Jeżeli natomiast podjęte zostaną działania o charakterze represyjnym, mogą doprowadzić do konfliktu na dużą skalę.

4. Kwestia wewnętrznych podziałów w "Solidarności" na "gołębi" i "jastrzębi", tych ostatnich często nieścisłe utożsamianych z tzw. "politykami". Podziały takie naturalnie istnieją, co więcej, ich istnienie ujawnia się z nadmierną niekiedy siłą. Ich podsycanie, co już wykazywaliśmy, nie leży w interesie władz. Brutalne naciski mogłyby zresztą co najwyżej zrodzić odruchy solidarnościowe, wprowadzając władze w konflikt z całym Związkiem.

Powyższa lista nie obejmuje wszystkich konfliktów ogólnokrajowych. Nie jest załatwiona sprawa podziału majątku związkowego. Zewsząd dochodzą wieści o zdarzających się prowokacjach - w rodzaju zbeszczeszczenia pomnika żołnierzy radzieckich w Lublinie. Mało prawdopodobne, by było to dzieło tzw. "elementów antysocjalistycznych" - musiałyby być one nie tylko antysocjalistyczne, ale na dodatek ogarnięte manią samobójczą. Wreszcie liczyć się trzeba ze zwykłą ludzką głupotą, czy lekkomyślnością, że ktoś - niekoniecznie w naszym Związku - wystąpi z myślą ulicznego pochodu, czy deklaracji na forum międzynarodowym.

Wiele w istniejącej sytuacji zależy od władz, od tego, czy - w istniejącej, zapalnej sytuacji - zechcą powstrzymać się od interwencji, czy też - tam gdzie to konieczne - znajdą właściwe rozstrzygnięcie. Trzeba jednak liczyć się z tym, że niezależnie od posiadanych złych, lub dobrych chęci - działając pod presją z zewnątrz, w gorącym, przedzjazdowym okresie - mogą reagować w sposób mało przemyślany. Ponadto na podejmowanych decyzjach ważyć mogą wewnętrzne rozgrywki, na które Związek nasz nie ma wpływu. Musimy - jako Związek - zdobyć się na spokój i konsekwencję w działaniu, o który naszym partnerom może być trudno. Potrzebą chwili jest dyscyplina i zaufanie dla instancji związkowych, przede wszystkim Krajowej Komisji Porozumiewawczej, rozważa poczynania i wystąpienia publicznych.

REDAKCJA

Franciszek Fenikowski

Czarny czwartek

I.
Zanim jeden punkt czarny, mały
krwawą plamą rozlał się na mapach
wstawał dzień i lipy szalały,
rosł, mlił, dawał słodki ich zapach;
student zgłębiony ponad historią
rzucił książkę i w oknie stanął...
Duszno.

Duszno jak w prosektorium
w to czerwcowe, czwartkowe rano.

II.
Odrzutowicie lancetem kraje
sine niebo martwych metafor.
Już na mostach stają tramwaje,
w dole rękę podniósł semafor:
-Nie ma wjazdu!

Na lśniących szynach
znieruchomiał sznur lokomotyw...
Bije z wieży czarna godzina
-uwertury posępny motyw.
Odrzutowicie niebo przecina.
Parowozy dymią na torach...

Bije z wieży czarna godzina
jak złowróżbny krok Komandora.

III.
Stają ludzie na Kaponierze,
przez most biegnie mały przechodzień,
ku zamkowi patrzy na wieżę,
zegar nie tak bije jak oo dzień,
szara wieża pięścią z kamienia
grozi miastu.

I rośnie przestrach
i narasta groza milczenia
i przycicha ulic orkiestra:
tramwajowe zastygły śmyczki,
cichną dzwonki, trąbki, klaksony.

Czas-dyrygent włożył rękawiczki,
podniósł dłoń w rękawiczkach czerwonej.

IV.
Śpiew, śpiew słychać. Zbliża się pochód,
a na czele zły dobosz-głód
i lip zapach i zapach prochu
i huk, łomot werblowych nut.
Idą dzieci i robotnice,
Ludzie z przedmieść, z fabrycznych hal,
idą miastem w martwe ulice...
Głód ma oczy zimne jak stal,
głód ma pałki w dłoniach kościstych,
pałki w bębnie werbli grzmią...
-Stój-przebiegły werbel kul świsty.
-Stój-bruk spływa czerwoną krwią.

Lecą kule, lecą skrzydlate,
każda-mały z mosiądzu sęp,
ponad tłumem pracującym w zaturę
transparentu chwije się strzęp,
kule szarpią go, krew go plami,
w niebo rwie go wichrowy zryw,
nad dachami, nad kominami
leci w dymach jak widmo krzywd.

V.
W mrocznych bramach chichoczą biesy,
miasto drży pod stalowym gradem,
w limuzynach jadą frazesy
limfatyczne, nadęte, blade,
trzęsie w trwodze się stu lokal
na poduszkach miękkich limuzyn,
lęk się w oczach wodnistych czai,
w górze słychać szum skrzydeł Muzy,
muzy Klio, co z zagwią w dłoni
ponad miastem dymiącem płynie.
Frazes w strachu zębami dzwoni,
frazes trzęsie się w limuzynie,
frazes pierzcha poza rogatki
rozdzierając przestrzeń klaksonem,
a na bruku kłęczy cień matki
u zwłok chłopca w kurtce skrwawionej.

VI.
Cóżby rzekł tu Jan Wolfgang Goethe,
olimpijczyk, tropiciel prawd?
Praw nie wolno łamać bagnietem.
Krew to "ein ganz besonder Saft"
Płynie, bluzga, krzepnie na murze,
barwi nagą ziemię i bruk,
rozdeptują rude kałuże
setki setek biegnących nóg,
a głód-dobosz wciąga wali w bęben,
pędzi naprzód nie patrząc wstecz...
Wzrośnie z krwi tej zielonym dębem
POSPOLITA LUDOWA RZECZ?

VII.
Za Poznaniem, za mostami, daleko
kurz na szosie dymi żółtosiny
w kurzu czołgi metalową prą rzeką
i mijają czarne limuzyny,
w szybach aut jakby w lustrze drżą wody
twarze tłuste poblądłe ze strachu...

VIII.
Świecą z murów kul białe rozpryski
-gwiazdy mściwych, szerniałych nieb.

Nie wrócili do domów, do bliskich
ci, co wyszli, by wołać o chleb.
Czołgi stoją na rogach ulic.
Rzucił bęben zły dobosz-głód.
Nie wrócili, polegli od kul
ci, co strzelać nie chcieli w lud.
Podniesiono z barykad tramwaje,
oczy mrocznych oślepiły luf...

Noc nad miastem zdyszczonym staje
i jak krzywy nóż wznosi nów.

IX.
A historia? Czy dzień zapamięta?
Jakiż wyrok o nim da? Co dalej?

Patrz: w piekarni stara ekspedientka
przekrojony chleb kładzie na szali.
Klio z twarzą bezkrwistą, schyloną
ponad wagą, ma usta zacięte,
ale czarne źrenice jej płoną,
gdy karetka jęknie za zakrętem.
Poznań, lipiec 1956 roku
Wiersz ogłoszony w szczecińskim tygodniku
literackim "Ziemia i Morze", jesienią 1956.

POZNAŃSKI CZERWIEC 1956

Przełomowe w historii Polski współczesnej wydarzenia rozgrywane się w Poznaniu w czerwcu 1956 r. nazwane przez propagandę polityczną bagatelizująco "wypadkami poznańskimi", przebiegały w trzech fazach. Pierwsza z nich rozpoczęła się w dniu 8 czerwca i trwała prawie trzy tygodnie - do 27 tegoż miesiąca. Druga faza obejmowała dzień 28 czerwca. Trzecia rozpoczęła się w dniu następnym i objęła kilkanaście dni lipca.

Faza pierwsza to społeczny konflikt w środowisku pracy, który powstał głównie na terenie wielkiej fabryki metalurgicznej w Poznaniu, znanej w całej Polsce pod nazwą Zakłady im. Hipolita Cegielskiego, nazywanej się jednak wtedy ZISPO /Zakłady im. Stalina - Poznań/ oraz ZNTK /Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego/, a także w innych przedsiębiorstwach: MPK, Rzeźnia Miejska itp. Fazę tę nazwać można okresem dojrzwania robotniczego gniewu.

Faza druga toczyła się na ulicach Poznania. Była najpierw protestującym pochodem i polityczną manifestacją na centralnym placu w śródmieściu większości mieszkańców stolicy Wielkopolski, potem starciem uzbrojonych cywilów z obłąconą w gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego /dzielnica Jeżyce/ kilkunastuosobową grupą funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, wreszcie pacyfikacją całego miasta przez wprowadzone doń pancerne dywizje wojska. Dzień ten określono ponuro i katastrofalnie jako "czarny czwartek".

Faza trzecia przebiegała na omentarzach, w szpitalach oraz w więzieniach śledczych Poznania. Były to dni żałoby i cierpienia, milicyjnego terroru i obywatelskiego upokorzenia.

Epilogiem "wypadków poznańskich" były "procesy poznańskie", które toczyły się od 27 września do 22 października 1956 w Sądzie Wojewódzkim przy Al. Marcinkowskiego, a przerwane zostały przez VIII Plenum KC PZPR, na którym w dniu 20 października Władysław Gomułka próbował w swym przemówieniu oddać sprawiedliwość Poznaniowi.

Za moment początkujący "Poznański Czerwiec 1956" przyjęliśmy dzień 8 czerwca, gdyż wtedy odbyło się w Fabryce Wagonów W-3 w ZISPO masowe zebranie całej załogi, na którym jej delegaci, wybrani niezależnie od oficjalnych struktur organizacyjnych /partie związki zawodowe/ przedstawili kierownictwu administracyjnemu i politycznemu ZISPO oraz przedstawicielowi Ministerstwa Przemysłu Maszynowego z Warszawy swoje żądania. Dotyczyły one podatku niesłusznie przez trzy lata pobieranego od wyżej zarabiających przodowników pracy i robotników akordowych, co pozabawiło 6074 pracowników 11 milionów złotych. Obok żądania zwrotu tej sumy załoga wysuwała postulaty w sprawach racjonalnej organizacji pracy, gdyż brak koordynacji i przestoje odbijały się niekorzystnie na zarobkach, które poważnie spadły w stosunku do roku ubiegłego, wskazywała na szereg zaniedbań bezpieczeństwa pracy, a także warunków socjalnych. Dochodził do tego dygnitarski styl życia dyrekcji i aktywność partyjnego, kunktatorstwa w przydziale mieszkań, nagród i premii oraz brak jakiegokolwiek odzewu na liczne wnioski pracowników we wszystkich tych sprawach. Wnioski stawiano już od października 1955 przez Radę Zakładową W-3, na czele której stał Edmund Tasser, otrzymując od instancji miejscowych i centralnych w Warszawie jedynie mgliste obietnice, których nie dotrzymano.

W dniu 8 czerwca załoga W-3 ominęła pośrednictwo instancji związkowych, partyjnych, administracyjnych i przedstawiła swe żądania bezpośrednio, uzyskując od dyrektora departamentu w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego przyrzeczenie otrzymania odpowiedzi w ciągu siedmiu dni. Głównym rzecznikiem załogi W-3 pracujący tam stolarz Stanisław Matyja.

Daremne oczekiwanie na ową odpowiedź z ministerstwa podniecało w następnych dniach nastroje oburzenia i gniewu. Załoga W-3 organizowała protestacyjne przerwy w pracy i spontanicznie zwoływane masówki. Pojawiła się także zapowiedź strajku i wyjście na ulicę z groźbą zrobienia tego w czasie trwających wtedy w Poznaniu XXV Międzynarodowych Targów Poznańskich, co uniemożliwiłoby władzom stworzenie blokady informacyjnej dla kraju i zagranicy. Nawiązano też kontakty z innymi zakładami pracy Poznania, których załogi obiecały poprzeć solidarnościowym strajkiem żądania "cegielszozaków", wysuwając także własne żądania. Ten zespół osób, które działały poza oficjalnymi strukturami GRZZ, stworzył wtedy grupę opiniotwórczą, która miała decydujący wpływ na postawę załogi W-3. Był to więc jakby "niezależny związek zawodowy", prawdopodobnie pierwszy w historii PRL poprzednik "Solidarności".

Burzliwe narady załogi z kierownictwem ZISPO w dniach 21 i 22 czerwca doprowadziły do polaryzacji stanowisk - przy stwierdzeniu braku kompetencji dyrekcji zakładów oraz kunktatorstwie działań ministerstwa robotnicy postanawiają wysłać delegację do Warszawy. W skład jej wchodzi 17 delegatów wszystkich wydziałów ZISPO oraz 11 przedstawicieli kierownictwa. Zespół ten wieczorem 25 czerwca wyjeżdża do Warszawy, a 26 czerwca odbywa wielogodzinną konferencję z ministrem Romanem Fideliskim. Po ostrej dyskusji delegaci ZISPO uzyskali tam częściową zgodę władz na żądania załogi. Aby przywrócić spokój w ZISPO postanowiono kontynuować naradę w dniu następnym w Poznaniu.

27 czerwca ogłoszono strajk w ZNTK - żądano tam przywrócenia równowagi między płacami i cenami oraz przyjazdu w dniu następnym ministra komunikacji. W tym czasie do ZISPO przybywa minister Fideliski i ku zdumieniu i oburzeniu załogi częściowo wycofuje się z warszawskich uzgodnień z dnia poprzedniego. Aby odwieść groźbę strajku poza dzień 30 czerwca /zakończenie Międzynarodowych Targów/ obiecuje dopuścić delegatów robotniczych do prac nad nowym obliczaniem zarobków. Robotnicy są jednak niecierpliwi,

chcą to rozpocząć natychmiast, a w godzinach wieczornych tego dnia nie poproszono ich do gabinetu dyrektora Trzcionki, gdzie odbywało się przyjęcie dla ministra i jego współpracowników. To przechyla szalę oburzenia i gniewu. Zapadła wtedy decyzja o strajku i wyjściu na ulice Poznania, aby tam zaciekać na przyjazd premiera Rządu PRL i tam pod naciskiem manifestacyjnej obecności wszystkich mieszkańców Poznania wymusić na przedstawicielu najwyższych władz w państwie ustępstwa i uzyskać sprawiedliwe warunki pracy i życia.

W godzinach wieczornych dnia 27 czerwca zakończyła się pierwsza faza "wypadków poznańskich". Aby zrozumieć jej genezę trzeba przypomnieć, że rozgrywała się ona w czasie, gdy w partii toczyły się ostre spory perspektyw dalszego rozwoju państwa socjalistycznego. Przyjmowane dotychczas tempo industrializacji kraju okazało się zbyt forsowne, a w rezultacie bezpardonowej walki z chłopem i rzemieślnikiem nastąpiło drastyczne obniżenie produkcji żywności i upadek zakładów usługowych. Poprzez przyjęcie stalinowskiej teorii zaostrzenia się walki klasowej w czasie stopniowego wdrażania głównych założeń ustroju socjalistycznego, musiano w latach poprzednich nadmiernie rozbudować aparat przemocy i przysnąć mu rozległe uprawnienia, graniczące z pełną samowolą działania. Wyobrażano sobie, że takimi sposobami uchroni się scentralizowaną administrację przed groźbą uaktywnienia się różnych wymaginowanych "wrogów ludu": byłych członków Armii Krajowej, kleru katolickiego i wszystkich wierzących, ludzi utrzymujących stosunki z krewnymi przebywającymi za granicą itp.

Po rozprawieniu się w roku 1953 z tzw. "berioyszczyną" w Związku Radzieckim, co nastąpiło krótko po śmierci J. Stalina, szczególnie zaś po uchwałach XX Zjazdu KPZR /luty 1956/, na którym Chruszczow zrywał z tzw. kultem jednostki i ujawnił nadużycia aparatu przemocy, nastąpiły i w Polsce próby ukrócenia samowoli aparatu bezpieczeństwa - zdymisjonowano ministra Radkiewicza oraz aresztowano w kwietniu 1956 wysokich urzędników UB: Różańskiego, Romkowskiego, Fejgina. Starano się także stopniowo rozluźnić obciążenie scentralizowanej administracji, dopuszczono do jawnej krytyki prasowej wynaturzeń. Wydano drukiem szereg literackich utworów, pisanych inaczej niż to zalecała doktryna tzw. "realizmu socjalistycznego" kształtujących wyobraźnię czytelników. Zwolniono więźniów politycznych, zrehabilitowano niewinnie straconych oficerów. Nasilenie tych akcji nastąpiło wiosną 1956, kiedy po śmierci Bolesława Bieruty wybrano I Sekretarzem KC PZPR Edwarda Ochabę. Były to jednak wszystkie kompromisy i właśnie ten stan rzeczy odbił się niekorzystnie na rezultatach przyjętej linii politycznej nazwanej nurtem demokracji lub "odwilżą". Realizowano ją bowiem opornie i kunktatorsko, choć uniknąć odpowiedzialności za "błędy i wypaczenia", zachowując w nowych warunkach swe dawne stanowiska.

Żądania całego narodu zmierzające do uzyskania większej swobody mówienia i działania oraz do polepszenia warunków życia, łącznie z ową sytuacją i nastrojami w partii stały się podłożem wydarzeń, które miały miejsce w Poznaniu w czerwcu 1956 r.

Poznań liczył w tym roku około 380 000 mieszkańców stałych oraz przyjmował codziennie kilka tysięcy dojeżdżających do pracy. W stosunku do roku 1946 powiększył się o ok. 120 000 ludzi. Natomiast słabo w tym czasie pomógł swe zasoby mieszkaniowe i komunalne. Jedenaście lat po wyniszczeniu organizm miejski wywołanej bitwie o Poznań, pełno w nim jeszcze było ruin, pustych placów lub prowizorycznych pawilonów, nieraz na miejscu całych dzielnic. Nowych bloków mieszkalnych zbudowano do tego roku bardzo niewiele. Zagęszczenie mieszkań było duże i stan ten pogarszał się coraz bardziej. Mimo to traktowano Poznań w stolicy po macoszemu, co było widać szczególnie wyraźnie po zlikwidowaniu w roku 1951 resztek samorządu miejskiego, kiedy wszystko uzależniono od władz centralnych. W porównaniu z innymi większymi miastami Poznań otrzymywał bardzo małe środki na inwestycje: w roku 1956 Warszawa dostała 1276 zł na jednego mieszkańca, Kraków 1147 zł, Łódź - 572 zł, Wrocław 505 zł, a Poznań - 368 zł. Przed wojną miasto raczej zasobne i dobrze urządzone, bogatsze od miast Polski centralnej, wschodniej i południowej, a także bardziej od innych gospodarnie, musiało teraz świadczyć efektami swej pracy na ko-

rzyć miast innych, mniej zasobnych i mniej gospodarnych. Poglądowało to uczucie frustracji u rdzennych poznańców i kompleksy niechęci do nie "swojej" władzy. Ogólny bałagan gospodarczy i niesumienność administracji w całym państwie natrafiły w Poznaniu na dawne przyzwyczajenia i psychospołeczne odczucia krańcowo odmienne. Na legalizm, lojalność, sumiennność, pedantyzm w pracy i "porządek" w życiu codziennym. Tutaj raczej nie umiano "kombinować" i oszukiwać - tym silniej więc odczuwano przykrości i utrudnienia wynikające z bałaganu i z decyzji pozornych. Oglądając w latach 1955 i 1956 przepych towarowy i wygodę życia na wystawach Międzynarodowych Targów Poznańskich, poznaniacy wcześniej niż inni Polacy nie wytrzymali wymowy takich kontrastów. Dlatego chyba ogólnie rozluźnianego łańcucha systemu stalinowskiego pękło właśnie w tym mieście.

Ogniuwo to pękło wcześniej rankiem w czwartek 28 czerwca 1956 r. 80% załogi ZISPO wyszło w tym dniu z fabryki i rozpoczęło o godzinie 6,30 pochód ulicą Dzierżyńskiego w kierunku Śródmieścia. Po drodze reprezentanci "cegielniczek" weszli do ZNTK przy ul. Roboczej, gdzie odbywała się właśnie - po wczorajszym strajku - masówka z udziałem wiceministra. Załoga ZNTK przyłączyła się prawie w całości do pochodu, który podążał przez Most Dworcowy w kierunku ul. Roosevelta i dalej przez Zwierzyniecką i Kraszewskiego na Rynek Jeżycki, a potem ulicami Dąbrowskiego i Fredry w kierunku Placu Wolności. Po drodze dołączały do pochodu cegielnicy i kolejarzy załogi innych, większych i mniejszych zakładów pracy z Dębca Wildy, Górczyna, Bazarza, Grunwaldu, Jeżyc. Większość ludzi pracy Poznania poparła manifestację i przyłączyła swe głosy do hasła skandowanego i wypisanego na niesionych transparentach. Hasła te żądały "chleba" i "wolności". Pochód szedł w dość zwartym ordynku, powoli, śpiewając walciki patriotyczne i religijne. Na Placu Wolności dołączyły załogi z Poznania prawobrzeżnego, ze Starołęki, Rataj, Główniej, Śródki oraz ze Starego Miasta. Razem już ruszyli wszyscy ulicami Ratajczaka i Armii Czerwonej na plac zwany wtedy Placem Stalina /dziś Plac Mickiewicza/. Jest to centralne miejsce Poznania, położone między piękną fasadą Uniwersytetu a ponurą budowlą dawnego zamku niemieckiego cesarza, gdzie w 1956 r. mieściło się Prezydium Miejskiej Rady Narodowej /m. g. Prezydium MRN Fr. Frąckowiaka, do gmachu KW, gdzie jednak nie było I Sekretarza L. Stasiaka i do Komendy MO. Żądali przybycia do Poznania Premiera Józefa Cyrankiewicza. Władze miejscowe były sparaliżowane milczeniem władz centralnych i brakiem jakiegokolwiek instrukcji poza zaleceniem czekania. Urzędnicy i milicjanci opuścili więc swe siedziby. Demonstranci wywiesili na zamku białą flagę, na wysokich okolicznych budynkach i na ścianach KW pojawiły się napisy powtarzające hasła z pochodu. Czas oczekiwania na odpowiedź władz przedłużał się. To kunktatorstwo i nieobecność władz przyniosły katastrofalne w skutkach konsekwencje. Nastroje tłumu uległy radykalizacji, a działania zwiększały stopniowo swą gwałtowność.

Około godziny 9,30 wjechał na plac opanowany przez demonstrantów zradiofonizowany mikrobus /"radiowóz" / z którego głośników rozlegały się przemówienia przygodnych mówców, komunikaty i hasła. Radiowóz stał się zatem jakby ośrodkiem całej manifestacji. W pewnym momencie odważył się wejść do niego Wincenty Kraśko - ówczesny sekretarz KW PZPR, aby przemówić do tłumu. Słowa jego były jednak niezręczne i dowodziły raczej bezradności i naiwności politycznej, dlatego nie dano mu skończyć i poszturchując wypchnięto go poza zasięg tłumnego zgromadzenia. Oczekujący i zniciertpliwiony tłum został około godz. 10,00 ożywiony nowymi hasłami. Dezinformacyjna plotka o rzekomym uwieszeniu robotniczych delegatów popchnęła część manifestantów do poszukiwania "uwieszonych". Ruszyli oni ku ulicy Młyńskiej, gdzie znajdowało się centralne więzienie. Inna grupa z transparentami i pieśniami wkroczyła na teren Mię-

dzynarodowych Targów Poznańskich, aby zademonstrować swój protest na oczach cudzoziemskich wystawców i handlowców. Niektórzy natomiast poszli ku gmachowi Ubezpieczalni społecznej przy skrzyżowaniu ulic Dąbrowskiego i Mickiewicza, aby zniszczyć postawione na dachu tego budynku anteny nadawcze i zainstalowaną na jego wyższych piętrach aparaturę zagłuszającą zagraniczne audycje radiowe. Urządzenia zagłuszające zostały wyrzucone na bruk uliczny około godziny 10,30, więzienie na Młyńskiej opanowano około godz. 11,00 po gwałtownym otwarciu bramy i rozbrojeniu strażników - wypuszczono z cel 257 więźniów. Manifestanci wdarli się także do stojącego w pobliżu gmachu Sądu i niszczyli przechowywane tam akta, paląc je na ulicy. Około godz. 11,30 tłum na Placu Stalina zaczął się powoli rozchodzić, gdyż w tymże czasie centrum wydarzeń było już umiejscowione w innym punkcie miasta - wokół gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bepieczeństwa Publicznego przy ulicy Kochanowskiego na Jeżycach.

Pierwsze grupy manifestantów /tramwajarze i młodzież/ pojawiły się tam ok. godz. 10,15. Ludzie chcieli dostać się do środka, aby - podobnie jak w innych urzędach - przedstawić swoje żądania, a przede wszystkim poszukać swych rzekomo uwieszonych delegatów. W siedzibie UB natrafiono na opór. Brama była zamknięta a funkcjonariusze UB wypuścili na demonstrantów strumienie wody. Ludzie zareagowali na to kamieniami wydobytymi z chodników, wyłożonych tam małą kostką bazaltową. Hydranty przeniesiono wtedy na wyższe piętra, co obniżyło ciśnienie strumienia wody i broń ta stała się nieskuteczna. Około 10,40 padły pierwsze strzały z okna drugiego piętra gmachu UB. Tłum cofnął się wtedy tworząc półkole przed gmachem UB, a na przeciwległym chodniku stanęły tramwajarki ze sztandarami, podczas gdy kilku ludzi zaczęło walić łokiem w drzwi. Seria z broni maszynowej daje pierwszych rannych - są wśród nich m.in. dzieci /dwóch chłopców 9 i 12 lat/ oraz dwie kobiety - tramwajarki ze sztandarami. Symbol naroduwy z rąk jednej z nich przejmuje 13-letni Romek Strzałkowski, który staje naprzeciw głównego wejścia do gmachu UB i wysoko trzyma biało-czerwoną chorągiew.

Ludzie po pierwszych strzałach zaczynają budować barykady z przewracanych wozów tramwajowych na ul. Dąbrowskiego oraz z przyczep samochodowych. Zaopatrują się w butelki z pobliskiej rozlewni piwa, napełniają je benzyną wypuszczoną z baków samochodowych a potem zapalone rzucają na ściany budynku UB. Z ulicy Młyńskiej przybywa pochód z radiowozem na czole i z ludźmi uzbrojonymi w karabiny odebrane strażnikom więziennym. Pierwsze strzały manifestantów do okien gmachu UB padły około godziny 11,30 i odtąd zaczyna się wzajemne, coraz mocniejsze ostrzeliwanie z obu stron.

Wszystkie te zdarzenia podnieciły gromadzących się w pobliżu ludzi. Gniew i uniesienie patriotyczne wzmoczone zostało pojawieniem się pierwszych oddziałów wojska, które przybyły w pobliże ulicy Kochanowskiego około godziny 12,00. Były to ciężarówki z plutonami podchorążych Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych i Zmotoryzowanych na Gołębiniu oraz kilka czołgów. Żołnierze obowiązywał jeszcze wtedy zakaz używania broni, a czołgi nie posiadały ostrej amunicji. Żołnierze ci łatwo dali się rozbroić, a czołgi zostały opanowane przez cywilów. Jeden z czołgów, nieudolnie prowadzony przejechał przed gmachem UB. Pierwsze oddziały wojska zachowały się przyjaźnie wobec ludności cywilnej, nieraz jednoznacznie i aktywnie demonstrując swoje z nią braterstwo. Dopiero następane oddziały, nad którymi komendę objął dowódca 10 Pułku KBW pułkownik J. Lipiński, przystąpiły do ostrej akcji, zatrzymując około godziny 13,00 rozkaz użycia broni palnej, ale i później niektóre czołgi i niektórzy żołnierze stanęli po stronie ludności.

Bitwa wokół ulicy Kochanowskiego stawała się od godz. 13,00 coraz bardziej zacięta i desperacka. Uzbrojeni cywile zaczęli tworzyć jakąś organizację koordynującą działania. Samochody zwoziły broń i amunicję ze zbrojowni więzienia na Młyńskiej /zdobyto tam 76 karabinów, 48 granatów i 23625 sztuk amunicji/, z magazynów studenckich Studiów Wojskowych, od rozbrajanych żołnierzy i milicjantów oraz z dzielnicowych Komend MO, które poddawały się nacierają-

cym na nie grupom zbrojnych młodzieńców. Broń tę rozdawano cywilom, a bardziej doświadczeni dumni wojskowi i weterani ostatniej wojny dawali instrukcje co do jej użycia. Zbudowano też nowe barykady i opanoowano okoliczne mieszkania, należące w przeważnej części do funkcjonariuszy UB. Z okien tych mieszkań i z dachów ostrzeliwuje się nie tylko gmach UB, ale i nadciągające oddziały wojska i czołgi. Stanowisk ogniwych jest coraz więcej, na czołgi i wozy pancerne, strzelające już teraz do ludności, rzuca się - czasem skutecznie zapalone butelki z benzyną. Pada coraz więcej zabitych i rannych, których zbierają sanitariuszki i karetki pogotowia.

Około godziny 14,00 na lotnisko Ławica /zachodnie obrzeże Poznania/ przybyli samolotem z Warszawy premier Józef Cyrankiewicz, sekretarz KC Edward Gierek i generał Stanisław Popławski, który obejmuje od godziny 15,00 dowództwo nad wszystkimi akcjami militarnymi w Poznaniu i okolicy. Do miasta wprowadzono około godziny 14,00 oddziały 19 Dywizji Pancerniej IV Korpusu Armijnego Śląskiego Okręgu Wojskowe go, odbywającej właśnie ćwiczenia na poligonie w Biedrusku. W godzinach wieczornych natomiast wzmocniono te oddziały m.in. przez 10 Sudecką Dywizję Pancerną z Wrocławia. Sztab Popławskiego utworzono najpierw na lotnisku Ławica, od godz. 20,00 przenieśli się on do wojskowych budynków przy ul. Kościuszki. W godzinach popołudniowych i wieczornych czołgi zajmowały wszystkie ważniejsze punkty na terenie całego miasta. Stanęły na placach, obok ulicznych skrzyżowań, przy urzędach, bankach, redakcjach, mostach, dworcach, fabrykach. A bitwa wokół ulicy Kochanowskiego trwała nieustannie - także wewnątrz budynków, na podwórzach, na dachach. Strzelanina nie ustawała tam aż do zmroku i przeciągnęła się do pierwszych godzin rannych dnia następnego. Po godzinie 21,00 obowiązywała w całym mieście "godzina milicyjna" czyli zakaz wychodzenia z domów pod groźbą ostrzałów bez ostrzeżenia. Walki w języckim kwadracie ulic w pobliżu gmachu UB zakończyły się około godziny 4,00 nad ranem 29 czerwca. Nie wszystkich cywilów obezwładniono. Następnego dnia ostrzeliwano się jeszcze z dachów mniej więcej w 30 różnych punktach Poznania. Cywilów - głównie młodych ludzi - zaangażowanych zbrojnie w tej bitwie można szacunkowo określić liczbą 150-200. Żołnierzy przybyło do Poznania około 6000 a może i więcej, a oprócz tego miejskie siły milicyjne wzmocnione zostały oddziałami z innych miast, m.in. z Piły i wieczorem wynosiły 2300 ludzi.

W godzinach popołudniowych rozruchy próbowano rozszerzyć na inne miasta Wielkopolski, bez większych jednak rezultatów. W czasie zajęć dawano dowody wielkiej ofiarności i solidarności społecznej - celowała w tym służba zdrowia. Pielęgniarki i lekarze, nie raz z narażeniem własnego życia przynosili pomoc rannym i zbierali z ulic ludzi zabitych. Krwawe żniwo tamtego dnia było wielkie. Niepełna z pewnością lista zabitych liczy obecnie 75 osób, a brak na niej m.in. nazwisk 19 oficerów /podchorążych ?/, którzy - jak podają niesprawdzone, lecz bardzo natrętne wieści - zostali za oddanie broni i zdradę poddani wyrokom sądu wojennego i rozstrzelani. Rannych było mnóstwo - oficjalnie podano ich liczbę: 575 osób, a szacunkowo można ją zwiększyć o 900.

Były także jednak incydenty dowodzące narastania obopólnej nienawiści, okrucieństwa i bestialstwa. Na dworcu poznańskim zbiorowym linczem zamordowano kaprala UB Zygmunta Izdebowym. Jeden z żołnierzy wyciągnął z opanowanego poprzednio przez cywilów czołgu młodego chłopca, wbijając mu bagnet w brzuch. W dyspozytorni garażowej UB przy ul. Krasińskiego zastrzelono z pistoletu z bliskiej odległości trzynastoletniego Romka Strzałkowskiego.

Trzecią fazę wypadków poznańskich nazwać można odwetem władzy na mieszkańców Poznania. Według danych milicyjnych organa bezpieczeństwa aresztowały 658 osób, a MO 88 razem zatem przebywało w więzieniach 746 osób. Poddane one zostały brutalnym metodom śledztwa. Do dnia 3 lipca Komenda MO, choć wie działa o biciu i znęcaniu się nad zatrzymanymi cza-

sem zupełnie przypadkowo ludźmi, nie reagowała na to łamanie prawa przez organa mające pilnować praworządności. Zatrzymanych zgromadzono w prymitywnych warunkach na lotnisku Ławica, a później rozwożono do różnych więzień i poddawano dalszemu śledztwu.

W dniu 30 czerwca odbył się na Cytadeli oficjalny pogrzeb kilkunastu ofiar /w tym przede wszystkim poległych żołnierzy i funkcjonariusza UB/, na którym przemówienie wygłosił sekretarz KC Edward Gierek. Innych grzebano pokątnie na wszystkich cmentarzach Poznania. Wystąpienie Gierka oraz przemówienie premiera Józefa Cyrankiewicza, ogłoszone przez radio wieczorem 29 czerwca dopełniły upokorzenia, jakiego doznali w tej fazie "wypadków" mieszkańcy Poznania. Postawiono tam tezę, że wypadki były rezultatem inspiracji "reakcyjnego podziemia". Mówiono o dywersyjnych bojkotach o "nikczemnych prowokatorach" i "nędznych awanturnikach". Grożono "obcięciem ręki" tym, którzy odważą się ją podnieść na "władzę ludową". Tezę tę zmieniono co prawda na koncepcję "dwóch nurtów poznańskiego czwartku": nurtu robotniczego rozgoryczenia i niezadowolenia oraz nurtu "wrogich, chuligańskich wystąpień". Nie potrafiło to jednak przekonać mieszkańców Poznania, gdyż obie tezy obrażały ich obywatelską godność. Spychano bowiem ich protest do poziomu gangsterskich rozgrywek, hajdamackiego awanturnictwa, bandytyzmu i złodziejstwa.

Teza o dwóch nurtach obowiązywała także w czasie "procesów poznańskich" a zaprzeczali jej adwokaci broniący młodych "przestępców". Oskarżano w tych "procesach" 22 młodych ludzi, a zostali oni tak dobrani, aby ich życiorysy ową teorię "chuligaństwa" mogły poprzeć. Adwokaci próbowali wykazać zaleźność czynów swych klientów od nastrojów panujących w tym dniu w całym Poznaniu. Przywoływali świadków, którzy zeznawali na korzyść tej tezy, którzy pomogli ustalić chronologię i charakter wydarzeń. Prosił o ekspertyzę biegłych - profesorów socjologii /Chałasińskiego, Szczepańskiego Szczurkiewicza/, którzy uświadomili "Wysoki Sąd" co do prawdziwości jakie zachodzą w zachowaniu się tłummu i co do nacisków, jakim podlega psychika jednostki w wyrunkach zbiorowego napięcia. Adwokaci odrzucili zdecydowanie tezę o "dwunurtowości poznańskiego czwartku". Twierdzili, że było to spontaniczne wystąpienie całego społeczeństwa, kierowane ideologią sprawiedliwości społecznej i patriotyczną tradycją.

Polski "Październik" przerwał procesy i zwolnił oskarżonych z więzienia, a także oficjalnie zrehabilitował Poznań. Sam był bowiem przygotowany przez dramatyczność czerwcowych wypadków. Ich tragiczne perypetie stały się dla całego narodu, a szczególnie dla polskiej lewicy wstrząsem moralnym. W samej partii wybuch w Poznaniu na krótko jedynie zahamował tendencje "odwilżowe", co więcej - jaskrawością problematyki ekonomicznej społecznej i politycznej pomógł tej grupie w jej kierownictwie, która postulowała konieczność demokratyzacji życia w Polsce i która doprowadziła w październiku 1956 do przełomu.

Niestety, w kilka miesięcy po "Październiku" oficjalnie kazano zapomnieć o poznańskim "Czerwcu". W samym Poznaniu zaś najaktywniejsi uczestnicy strajku zaczęli podlegać różnym szykanom, z różnych przyczyn zwalniano ich z pracy oraz poddawano nekającej inwigilacji. Najmniej przezorni propagatorzy bohaterstwa uczestników bitwy przy ul. Kochanowskiego doznawali szykan sądowych. Ludziom za mykano więc usta a badaczom dostęp do akt i dokumentów.

A przecież poznański Czerwiec rozpoczął wątek w dziejach współczesnej Polski chyba najważniejszy, właśnie w nim tkwią korzenie irredenty robotniczej i kulturalnej, która wywierała i wywiera zasadniczy wpływ na kształt naszej rzeczywistości. Wątek ten miał dalsze etapy znaczone wydarzeniami lat: 1968, 1970, 1976, 1980. Przyswojenie wiadomości o genezie i okolicznościach wypadków poznańskich jest zatem obowiązkiem edukacji narodowej.

Każdy prowokator, czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie /.../

(JÓZEF CYRANKIEWICZ)

Henryk Karoń

Z OKIEN SZPITALA

Opisane tu przeze mnie wypadki widziane są z perspektywy człowieka, który bezpośrednio, a może także najsilniej zetknął się z ludzkim bólem i cierpieniem w tych dniach. Widziane są z perspektywy lekarza chirurga, niosącego niejednokrotnie ulgę w cierpieniu, ale jednocześnie stojącego nieraz wobec ludzkiego bólu i tragedii całkowicie bezradnie. Przedstawione przeze mnie wydarzenia tych dni stanowiły dla mnie chwile tak ważne w życiu, że później wielokrotnie wracałem pamięcią do tych wypadków. Na ich obraz składa się nie tylko atmosfera tamtych dni, nasza wspólna wiara i nadzieja, skandowane hasła, przemówienia z improwizowanej mównicy na platformie samochodu, jedyny w swoim rodzaju i niezapomniany odgłos - pomruk tłumu: w ten obraz wmontowane są także twarze konkretnych ludzi - tych, których spotykałem później na ulicach Poznania i tych, dla których dzień 28 czerwca 1956 roku był ostatnim dniem życia.

28 czerwca był pogodnym, słonecznym dniem. Jak co dzień rozpocząłem pracę w Szpitalu Miejskim im. Franciszka Raszei przy ulicy Mickiewicza o godzinie 7,30. 28 tego miesiąca już wcześniej wyznaczony został jako dzień nieoperacyjny. Obchód sal, opatrunki zwykła zawodowa wymiana zdań na temat chorych, planowanych zabiegów itp.

Pierwsze pogłoski o tym, że w mieście dzieje się coś niezwykłego dotarły do nas około godziny 9-tej. Mówiono o pochodzie robotników Cegielskiego na Zamek - ówczesna siedziba władz miejskich oraz przed gmach KW PZPR. Tóż po godzinie 9-tej z okien laboratorium usytuowanego na ostatnim piętrze szpitala zaczęto obserwować niezwykły ruch na dachu budynku. Ubezpieczalni Społecznej /róg Dąbrowskiego i Mickiewicza/. Po chwili stało się jasne, że postacie, które pojawiły się na dachu, niszczą anteny i urządzenia stacji służące do zagłuszania audycji radiowych z zagranicy. Na naszych oczach burzono maszty i anteny. Jednocześnie przed budynkiem Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Kochanowskiego - widocznego z okien naszego oddziału chirurgicznego /obecnie teren ten jest zabudowany/ zaczęły gromadzić się pierwsze grupy ludzi, początkowo stojących, później maszerujących przed budynkiem z obserwowanych z odległości kilkuset metrów zachowań wnioskować można było o wzburzeniu emocjonalnym tych ludzi. Skandowano jakieś hasła, wznoszono okrzyki. Widać było, że w tłumie /złożonym już mniej więcej z 300-400 osób/ znaczną część stanowili tramwajarze, których można było poznać po charakterystycznym umundurowaniu. Przeważała młodość. Pamiętam widok kobiety w mundurze tramwajarskim, która z białoczerwonym sztandarem w rękach maszerowała przed frontem budynku Urzędu Bezpieczeństwa - tam i z powrotem - prowadząc za sobą grupę ludzi.

Około godziny 10,30 padły pierwsze strzały. Tłum który w międzyczasie powiększył się do kilku tysięcy osób, rozbiegł się sprzed budynku UB, lecz po chwili uformował na nowo wznosząc okrzyki i skandując hasła.

Po kilkunastu minutach padły następne strzały. Strzelano teraz co chwila. Pojawili się pierwsi ranni, wśród nich kobieta z przestrelonym ramieniem. Wbrew oczekiwaniom strzelających tłum zwiększył się gromadził się w zaułkach ulicy Poznańskiej, zbierał za budynkami, ale nie ustępował. Ludzie byli wzburzeni i podnieceni. Pierwszych rannych zaopatrywaliśmy już w sali operacyjnej, której okna wychodziły na ulicę Poznańską. Gdy wspólnie z kolegą, dr. Cieśląskim zaopatrywaliśmy kolejną ranę postrzałową jakiegoś mężczyzny, była godzina 11 - 11,30.

Nagle usłyszeliśmy głuchy bezdźwięczny szum, pomruk, coś akustycznego o niespotykanym charakterze i sile tonów. Szum ten wzrastał się, rósł, paraliżował nasze działanie. Kończyliśmy zabieg operacyjny wsłuchując się w niesłyszana nigdy dotąd przez nas akustyczną grozę. Dwie salowe z bloku operacyjnego podbiegły do okien i otworzyły je. Przerażliwy dźwięk wdarł się teraz gwałtownie do naszego pomieszczenia. Po chwili obie salowe odwróciły się gwałtownie od okna, odskoczyły na bok i zaczęły przeraźliwie krzyzczeć. Podbiegłem natychmiast do okna i spojrziałem w dół z wysokości II piętra budynku szpitala. Ujrzałem niesamowity, nieopisany wprost widok. Środ-

kiem ulicy powoli jechał radiowóz z megafonami, przez które ktoś coś stale chrapliwie wykrzykiwał. Na radiowozie, na wszystkich jego możliwych do wykorzystania miejscach: na dachu, błotnikach, masce, na stopniach i zderzakach stało i siedziało kilkunastu ludzi, przeważnie z białoczerwonymi sztandarami. Radiowóz z trudem posuwał się w ciasnym, zbitym tłumie, wśród morza głów, ciżby ludzi, z których każdy coś krzyczał lub śpiewał. Pochód tysięcy ludzi od więzienia przy ulicy Młynskiej, mijając wiadukt kolejowy przy ulicy Libelta zapewniał szczelnie całą ulicę i chodnik.

W tym czasie słychać było nadal pojedyncze strzały z okolicy gmachu UB. Niekiedy rozlegały się serie z broni automatycznej. Z jadącego radiowozu padały jakieś hasła i nawoływania. Pochód powoli minął budynek szpitala i wszedł na część ulicy Poznańskiej widoczną z okien gmachu UB. Pojedyncze strzały raptem umilkły, ale wybuchły gwałtownie ze zwielokrotnioną siłą, gdy zbita masa ludzka zbliżyła się do rogu ulicy Kochanowskiego z wyraźnym zamiarem skręcenia przed gmach UB. Zaatakowani ostrym ogieniem ludzie rozpięrzchli się, chowali się po zaułkach ulicy Poznańskiej, część wbiegła do szpitala.

Przyjmowaliśmy kolejnych rannych. Znoszono ich spośród ludzi leżących na ulicach, część o własnych siłach docierała do drzwi szpitala. Rannych kładziono początkowo na noszach, później, gdy noszy zabrakło, wprost na posadzce przed salą operacyjną. Gdy biegłem na blok operacyjny z ówczesnym ordynatorem oddziału i dyrektorem szpitala doktorem Granatowiczem, zatrzymaliśmy się oszołomieni widokiem tyłu zakrwawionych, leżących bezpośrednio na podłodze rannych.

Stanęliśmy przy jednym z nich, młodym trzydziestoletnim mężczyźnie, który najwyraźniej dawał doktorowi Granatowiczowi jakieś znaki. Ranny chwycił go za fartuch i chciał coś powiedzieć. Z trudem chytał oddech, powiedział jedynie: "doktor Granatowicz doktor Granatowicz" /lekarz ten był postacią bardzo znaną i popularną w robotniczej dzielnicy Dębiec/ i po chwili, po kilkunastu sekundach, papierowo bladej, krwawiąc w wyniku rany postrzałowej zmarł na naszych oczach.

Pracowaliśmy w dwóch zespołach. Staraliśmy się pracować szybko, udzielając pomocy i wkraczając przede wszystkim w sytuację zagrażającą życiu. Na razie mieliśmy do czynienia przede wszystkim z ofiarami ran postrzałowych. Mimo tempa pracy i maksymalnego wysiłku z naszej strony kilku chorych w roboczych kombinazonach, w wieku 20 - 30 lat zmarło jeszcze przed udzieleniem pomocy.

Do sali operacyjnej przywieziono kolejnego rannego - młodego chłopaka. Twarz tego rannego i moje późniejsze spotkanie z jego matką, wielokrotnie nachodziła mnie w myślach i do dzisiaj mam ich oboje żywo w pamięci. Tym młodym człowiekiem leżącym teraz na stole operacyjnym był Marian Kubiak. Twarz miał bladą, pokrytą zimnym potem, na pytania odpowiadał powoli i z wyraźnym trudem. Stan kliniczny przedstawiał obraz wstrząsu wywołanego upływem krwi. Zdjęte zakrwawione części ubrania odsłoniły dwie głębokie rany klute, zadane bagnetem w brzuch, bardzo silnie krwawiące. Operował dr Granatowicz, ja asystowałem. Nagle, pod oknami bloku operacyjnego, we względnej ciszy, jaką dają grube, stare mury tego budynku, rozległa się gwałtowna kanonada z broni automatycznej i brzęk tłuczonych szyb naszego bloku operacyjnego. Część personelu wpadła w panikę. Marian Kubiak po zakończonej operacji został położony w jednej z sal oddziału chirurgicznego, ale jeszcze tego samego dnia w godzinach wieczornych zmarł.

Następnego dnia schodząc boczną klatką schodową spotkałem idącą z trudem pod górę starszą kobietę w wieku około 60 lat. Kobieta ta zatrzymała mnie, pytając czy w szpitalu nie przebywa jej syn Marian Kubiak, który nie wrócił na noc do domu. Nie od razu odpowiedziałem. Gdy jednak dowiedziała się ode mnie o zgonie syna, starsza już kobieta usiadła na szpitalnych schodach zanosząc się od płaczu. Odszedłem bez słowa - jakiegokolwiek wyrazy żalu czy słowa pocieszenia wydały mi się czczym frazesem, w ręcz brakiem szacunku wobec rozpoczętej tej kobiety. Spotkałem potem tę niemłodą już matkę 19-letniego chłopca jeszcze w dwa lub trzy dni po jego śmierci. Być może załatwiała jakieś sprawy pogrzebowe. Nie miałem odwagi z nią rozmawiać.

Po godzinie 12-tej strzelano już z obu stron. Strzały padały z okien gmachu UB jak również ze

strychów, z podwórek, dachów sąsiednich domów. W czasie, gdy zajęci byliśmy przy operacjach i zaopatrywaniu rannych, około godziny 12 - 13,00 zajechało w okolice gmachu UB, na ulicę Kochanowskiego i Poznańską kilka czołgów ze Szkoły Wojsk Pancernych na Golecinie. Czołgi nie były uzbrojone. Jeden z nich został opanowany przez demonstrantów, a następnie "odbity" przez oddziały wojska z Biedruska. Właśnie z takiej akcji przed szpitalem w trakcie "odbijania" czołgu nr 945 przywieziony został z ranami kłutymi brzoza Marian Kubiak.

Tłum już nie tak liczny był jednak bardziej wzburzony i podniecony. Gdy wyszedłem przez boczne wejście szpitala na ulicę Zacisze, byłem świadkiem, a właściwie uczestnikiem następującego zdarzenia:

Na noszach przyniesiony został podchorąży z rozszarpanym podudziem i roztrzaskanymi kośćmi w wyniku ostrzału kulą karabinową. Było jasne, że takie obrażenia wyeliminuje tego żołnierza z przyszłej kariery wojskowej. Podchorąży będąc w stanie psychicznego podniecenia /w wyniku wstrząsu urazowego/, ułożył się na noszach i grożąc pięścią w kierunku tłumu krzyczał: "Nasze chłopaki zemszczą się za mnie!" Tłum złożony z kilkudziesięciu osób zareagował wrogo - z gwizdami i okrzykami. W pewnym momencie musiałem interweniować siłą, aby zapobiec czynnej agresji wobec rannego. Podniecenie, nerwowość a nawet pewną groźbę tworzyło dodatkowe wycie karetek pogotowia ratunkowego, niemilkące strzały z okolicy gmachu UB oraz wycie samolotów odrzutowych, które pikały nad miastem.

Z sąsiednich ulic i placu przed szpitalem znoszono rannych i zabitych. Zmarłych kładziono w garażu należącym do budynków gospodarczych szpitala. Z posiadanych dokumentów ustalono personalia i wypisywano je na kartce przypinanej do zwłok. Liczba zabitych do północy wynosiła - 11. Wśród nich był chłopiec, a właściwie dziecko jeszcze - 13-letni Romek Strzałkowski. Był on jedną z pierwszych ofiar, które padły na ulicy Kochanowskiego. Kula przebiła mu serce.

Około godziny 16,00 szpital otrzymał telefoniczne wezwanie z gmachu Urzędu Bezpieczeństwa z prośbą o udzielenie pomocy chirurgicznej rannym pracownikom UB i ich rodzinom, które skrzyły się w gmachu przy ulicy Kochanowskiego. Jako zastępca ordynatora zorganizowałem akcję i udaliśmy się tam we trójkę: dr Sliwiński, pielęgniarka oddziałowa Aleksandra Banasiak i ja. Przeszliśmy przez placik tzw. "ziemi niczyjej", tj. miejsce między gmachem UB a szpitalem w linii prostej /obecnie teren ten jest zabudowany/, po którym biegali uzbrojeni żołnierze, a w załomach domów i zaułkach sąsiednich ulic gromadzili się wzburzeni i podnieceni ludzie. Słychać było pojedyncze strzały. W białych ubraniach i płaszczach lekarskich dotarliśmy nie niepokojeni do gmachu UB. Gdy otworzono drzwi i wpuszczono nas do wewnątrz oczom naszym ukazał się widok nie do zapomnienia, przypominający sceny filmowe o najcięższych dniach rewolucji.

W korytarzach i na schodach pełno było siedzących i stojących cywilów z bronią automatyczną w rękach, pistoletami wetkniętymi za pas, amunicją. Ludzie ci robili wrażenie bardzo zmęczonych, ale raczej opanowanych. Ktoś z tamtejszych pracowników prowadził nas na najwyższe piętro gmachu. Po drodze zatrzymano nas prosząc o udzielenie pomocy prawdopodobnie rodzinom pracowników zamieszkałych, jak powszechnie było wiadomo, w sąsiednich budynkach, które schroniły się tu przed tłumem. Na I piętrze w ciemnym hollu pozbawionym okien, leżało i siedziało na podłodze kilkudziesięciu kobiet i dzieci. Niektóre głośno płakały, ktoś jęczał. Atmosfera była duszna i ponura i doskwierała w przenośni. Leżącej zszokowanej kobiecie udzielił mi pomocy przez podanie środków uspokajających, innej chorej podaliśmy środki nasercowe. Nasz przewodnik prowadził nas wyżej, gdzie w pokoju leżał na podłodze z zakrwawioną twarzą młody osobnik zraniony rykoszetem kuli. Był przytomny i w ogólnie dobrym stanie, jedynie zakrwawiona twarz i silny krwotok z nosa powodujący chrapliwy oddech, nadawał charakterowi jego twarzy wyraz grozy. Gdy pielęgniarka Aleksandra Banasiak bandażowała mu twarz, nasz przewodnik zaprowadził nas jeszcze wyżej, do pokoju na poddaszu - /?/, gdzie na stole leżały świeże zwłoki młodego mężczyzny z raną postępkową w samym środku czoła.

Z naszym zakrwawionym rannym, którego wyprowadziliśmy na zewnątrz z budynku UB, ponieważ w jego wypadku hospitalizacja okazała się konieczna, ruszyliśmy ulicą w kierunku szpitala. Tłum skupiony u wylotu ulicy Kochanowskiego w grupach po kilkadziesiąt osób, powitał nas gwizdem i szyderczymi okrzykami. Żołnierze strzałami w górę z broni automatycznej próbowali rozpędzić demonstrantów, którzy po chwili znowu skupiali się w grupę wydając okrzyki i skandując hasła antyreżimowe.

W tym czasie karetki pogotowia ratunkowego transportowały niektórych rannych do innych szpitali miejskich, głównie szpitali im. Pawłowa i im. Strusia.

Około godziny 18-tej na korytarzu naszego szpitala zauważyłem starszego, łysawego pana około pięćdziesiątki, który dopytywał się o swego 13-letniego syna Romka Strzałkowskiego. Znałem prawdę. Zapamiętałem to nazwisko jedyne dziecka leżącego wśród zwłok w garażu szpitala. Z trudem powidiałem ojcu że dziecko jest u nas ale niestety nie żyje. Ojciec przez dłuższy czas jęczał i krzyczał, żądał sprawdzenia, mówił o żonie po zawale, której nie może tego powiedzieć.

Później po miesiącach i latach spotykałem się jeszcze z nim i jego żoną. Głównie jego żona opanowana myślą szukania sprawiedliwości kołatała u naszych władz wojewódzkich i centralnych w Warszawie. Próbowła wielokrotnie dostać się do Gomułki. Pisała listy, skargi, szukała zewsząd pomocy. Próbowła dowiedzieć się wszystkiego o swym synu, o każdym szczególe z ostatnich chwil jego życia i okolicznościach śmierci. Pokazywała mi później poemat napisany na jego cześć. Później dowiedziałem się, możliwe, że także od matki, iż jedna ze szkół polskich w Anglii nosi imię Romka Strzałkowskiego.

Pomiędzy godziną 19 a 21 do miasta wkroczyły regularne oddziały wojska. Grupa żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym wkroczyła także na teren szpitala. Rozmawialiśmy z nimi - przyjechali ze Śląska. Po drodze powiedziano im, że w Poznaniu wybuchły rozruchy pro niemieckie i mają rozkaz bronić niepodległości Polski. Było coś przerażającego w tym, gdy trzech żołnierzy, dojrzałych ludzi, opowiadało między sobą, że to wszystko to robota agentów imperialistycznych, londyńskich szlugałów i Wolnej Europy. W obliczu tych słów wszelkie komentarze o tym, jak dalece można było zniewolić umysły tych ludzi, wydają się być tylko pustym frazesem.

Z nastaniem zmierzchu nie nastąpił spokój. Przeciwnie, słychać było wyraźnie salwybroni automatycznej przerywanej pojedynczymi strzałami. Trwało to co najmniej do północy, a może jeszcze dłużej.

Wszystkie szpitale objęły ostre dyżury i pracowały w pełnej obsadzie. Nasz szpital jako "frontowy" miał najcięższą do czynienia z rannymi i niestety ze zmarłymi. Praktycznie nie spaliśmy całą noc.

Nad ranem, około godziny czwartej lub piątej, z kolegą /nie pamiętam już z kim/ wyszliśmy głównym wejściem na ulicę. W górę ulica Mickiewicza na całej długości jezdni stały czołgi i samochody pancerne. W wiozyczkach czołgów tkwili dowódcy, coś do siebie krzyczeli, wykonywali jakieś polecenia, przegrupowywali się. W białych strojach szpitalnych nie byliśmy zatrzymywani. Weszliśmy na ulicę Dąbrowskiego - względnie szeroką, wylotową ulicę na trasę berlińską I-tu zastaliśmy widok nie do opisanego. Na szynach stały tramwaje z częściowo powybijanymi szybami, na bokach miały wypisane hasła antyreżimowe, żądania prawdziwej demokracji itp. Część tramwajów leżała przewrócona w poprzek ulicy. Chodniki zasłane były gałęziami drzew połamanych w wyniku ostrzału domów. Widać było wyrwane framugi okienne na ulicach i grube warstwy chrzęszczącego pod butami szkła. Weszliśmy do pomieszczenia poradni lekarskiej na terenie gmachu ubezpieczalni. Tu w kilku pokojach zastaliśmy straszliwy nieporządek: porzucane meble, rozsypane papiery, rozbite szkło. Nagle rozległo się kilka pojedynczych strzałów, a po nich cała kanonada z broni automatycznej i broni czołgowej. Ostrzeliwano domy przy ulicy Dąbrowskiego. Dopiero po 20 minutach, w chwili spokoju wyknęliśmy się na drugą stronę ulicy i wróciliśmy do szpitala.

O godzinie 8 rano tego samego dnia /29 czerwca/ zjawił się w szpitalu ówczesny minister zdrowia dr Sztachelski. Zjawił się w asyście dwóch urzędników w dyżurce lekarskiej. Dr Cieśliński zaprowadził go do śpiącego jeszcze dyrektora Granatowicza, otworzył drzwi gabinetu i zaspanemu, półprzytomnemu ze zmęcze-

nia krzyknął w ucho: "Panie dyrektorze! pan minister przyjechał!"

Tan minister pragnął uzyskać bezpośrednio wiadomości o wypadkach. Ogarnął wzrokiem korytarze, gdzie leżało kilkudziesięciu rannych, zszedł boczną klatką schodową na parter budynku, obejrzał z niesmakiem niemalowane od lat ściany, wysmarowane i brudne, po czym powiedział: "Dyrektorze, przyślij wam tu Ministerialną Komisję Sanitarną". Po czym wyjechał.

Wśród rannych znajdujących się w szpitalu nastrój był pogodny, daleki od wzburzenia czy strachu. Rozmawiano, opowiadano sobie przeżycia, niekiedy nawet na wesoło. Z rana otrzymaliśmy też polecenie z Wydziału Zdrowia sporządzenia listy z dokładnymi danymi zabitych i rannych. Przybywały pierwsze rodziny zabitych: płacz, rozpacz, przynęgnięciem panowały przez cały dzień w szpitalu.

Okolo godziny 12-tej wyruszyliśmy na miasto. Na ulicach i placach samochody wojskowe i czołgi, dużo patroli wojskowych, ale jednocześnie na tych samych ulicach tłumu rozdyktowanych ludzi. W kawiarniach nie ma mowy o wolnym miejscu. Miasto powoli wracało do swego zwykłego rytmu.

Henryk Karoń

Oba przedstawione wyżej artykuły pochodzą z publikacji "Poznański Czerwiec 1956" wydanej przez Biuro prasowe MKZ Wielkopolska, Poznań 1981.

"Śmiertelna nienawiść do Polski Ludowej, do naszej władzy robotniczo-chłopskiej kierowała tymi zbrodniczymi rękami. Śmiertelna nienawiść uknuła tę nikczemną prowokację, która spotkała się z jednomyślnym potępieniem wszystkich pracujących, każdego prawego, uczciwego człowieka.

Jakże gorzko zawiedli się w swoich rachubach ci nędzni awanturnicy i ich inspiratorzy. Jakże miążdzącą klęskę ponieśli ich zbrodnicze plany. Masy pracujące Poznania odcięły się zdecydowanie od tych wrogich naszemu ustrojowi awantur, aktywnie poparły władzę ludową, dopomogły do przywrócenia w mieście ładu i porządku."

Z przemówienia sekretarza KC PZPR
E. Gierka na uroczystościach pogrzebowych

Generalna Prokuratura
Departament Nadzoru
nad Śledztwem i Dochodzeniem
Dsd. Sn. 29/57/Po/3158
/pieczętka/

POSTANOWIENIE o nieuwzględnianiu zażalenia

Warszawa, dn. 30. III. 1957

Wiceprokurator Generalnej Prokuratury rozpatrzywszy w dniu 26 marca 1957 r. zażalenie Obywatelki Marii Kapturskiej na postanowienie Prokuratora Wojewódzkiego w Poznaniu z dnia 6 listopada 1956 r. Nr SRF -S 56/56 o umorzeniu postępowania p-ko funkcjonariuszom MO podejrzany o pobicie tejże Marii Kapturskiej w czasie śledztwa - na podstawie art. 353 § 1 kpk postanowił zażalenie powyższe pozostawić bez uwzględnienia.

Uzasadnienie

Po zajęciach poznańskich w dniu 28 czerwca 1956 r. organa MO a między innymi i funkcjonariusze Komendy MO Dzielnicy Grunwald zatrzymali wiele osób podejrzanych o udział w tych zajęciach.

Została również w dniu 3 lipca 1956 r. aresztowana Maria Kapturska pod zarzutem rozrzucania ulotek

o treści godzącej w interes Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz brania udziału w zbiegowisku ludzi, którzy tarasowali wozami tramwajowymi skrzyżowanie ulic Roosevelta i Dąbrowskiego w Poznaniu oraz usiłowali przeskoczyć czołgom na wykonaniu ich zadań.

W toku śledztwa przeprowadzonego p-ko Marii Kapturskiej nie zdołano ustalić, by rozrzuciła ona antypaństwowe ulotki. Stwierdzono natomiast, że rzeczywiście brała ona udział w zbiegowisku ludzi, działających w sposób wyżej opisany.

Pomimo tego Prokurator Wojewódzki w Poznaniu umorzył postępowanie p-ko Marii Kapturskiej na zasadzie art. 49 kpk argumentując, że:

- wydarzenia na opisanym wyżej skrzyżowaniu ulic w Poznaniu były jedynie częścią większej demonstracji, wywołanej rozgoryczeniem ludności oburzonej widokiem interweniującego wojska,

- wydarzenia z dnia 28 czerwca 1956 r. spowodowały naruszenie zasad współżycia i porządku socjalistycznego przez wiele osób, które przyjęły za prawdę rozgłaszanie wówczas fałszywe wiadomości /.../

W toku prowadzonego przeciwko niej śledztwa Maria Kapturska była wielokrotnie przesłuchiwana przez funkcjonariuszy MO Dzielnicy Grunwald w Poznaniu i jak ustalono w czasie śledztwa w sprawie SRF 56/56, pobita przez nich. Ustalono w szczególności, że po zatrzymaniu w dniu 1 lipca 1956 r. Kapturska z polecenia Franciszka KRECZMERA, z-cy Komendanta MO Dzielnicy Grunwald pobita została gumą po plecach przez funkcj. MO KASPROWICZA i SZMIGŁAKA oraz bita ręką po głowie przez samego kreczmera. Ustalono następnie, że w tym samym czasie funkcj. MO Dzielnicy Grunwald pobili i innych jeszcze zatrzymanych. O stosowaniu bicia podczas śledztwa wiedział Komendant MO tej dzielnicy Czesław TOMCZAK i postępowanie to tolerował aż do dnia 3 lipca 1956 r., kiedy to zostało ono przez Komendanta MO miasta Poznania zakazane.

Prokurator Wojewódzki w Poznaniu po ustaleniu powyższego umorzył postępowanie karne na zasadzie art 49 kpk w dniu 10 października 1956 r. wobec Kasprowicza, Szmigłaka i innych, a w dniu 6 listopada 1956 r. wobec Tomczaka i Kreczmera, argumentując, jak następuje:

- sytuacja wytworzona przez wypadki poznańskie w dn. 28 czerwca 1956 r. wpłynęła w szczególny sposób na funkcjonariuszy MO odpowiedzialnych za spokój i porządek w mieście i doprowadziła do zagubienia przez nich rozsądku w działaniu.

- wypadki stosowania niedozwolonych metod wobec osób zatrzymanych w związku z demonstracjami miały miejsce nie tylko na terenie Dzielnicy Grunwald, lecz także na terenie innych dzielnic w Poznaniu i znane były Kierownictwu MO, które aż do dnia 3 lipca 1956 r. na fakty te nie reagowało.

- funkcjonariusze MO, którzy dopuścili się opisanych wyżej czynów cieszyli się zawsze w toku swej długoletniej, nienagannej służby w organach MO, jak najlepszą opinią, a w krytycznych dniach napotkali na specjalne trudności w zakresie utrzymywania spokoju i porządku w mieście.

W dniu 24 listopada 1956 r. Maria Kapturska złożyła zażalenie na powyższe postanowienie, twierdząc że na skutek pobicia chorowała w czasie pobytu w więzieniu na żółtaczkę i nerki, a obecnie odczuwa silne bóle i jest niezdolna do pracy.

Rozstrzygając zażalenie powyższe, należało wziąć pod uwagę okoliczności następujące:

1/ Maria Kapturska brała aktywny udział w demonstracji poznańskiej w dn. 28. VI. 1956 r. i pomimo ustalenia jej winy postępowanie karne wobec niej zostało umorzone;

2/ funkcjonariusze MO, których zadaniem było utrzymanie spokoju i porządku w mieście, dopuścili się bicia osób zatrzymanych w związku z demonstracjami i pomimo ustalenia ich winy postępowanie karne wobec nich również zostało umorzone;

3/ sytuacja jaka powstała w dniu 28 czerwca 1956 r. w Poznaniu była wyjątkowo trudna i skomplikowana. Doceniając to, Władza Ludowa odstąpiła od ścigania Marii Kapturskiej i wielu jeszcze innych osób, które w toku demonstracji i pod jej wpływem dopuściły się szeregu antypaństwowych występów i aktów gwałtu. Nie ma zatem podstaw do tego, by stosować inną surowszą miarę wobec funkcjonariuszy MO, którzy w toku zaprowadzania porządku i prowadzenia śledztwa o przestępstwa w związku z demonstracjami

w dniu 28.VI.1956 r. dopuścili się łamania praworządności. I oni bowiem w równej mierze jak Kapturska i jej podobni zasługują na pobłażliwość ze strony władzy ludowej. W tym stanie rzeczy, zwąszywszy nadto, że Marii Kapturskiej nie stoi na przeszkodzie do dochodzenia swych roszczeń wobec Skarbu Państwa na drodze cywilno-prawnej, należało postanowić, jak na wstępie.

Wiceprokurator
Generalnej Prokuratury
/podpis nieczytelny/

Polska klasa robotnicza
potępia wybryki
prowodyrów, morderców i bandytów

express
poznański
30.06.1956

komentarze

Marek Czapliński

Wnioski z reformy uniwersytetów w RFN

Kiedyś już pisano na tych łamach, że warto prześledzić zmiany, jakie przeprowadzono w organizacji szkół wyższych w innych krajach i aktualnymi ocenami tych reform. Dziś zajmiemy się uniwersytetami RFN, gdzie już w latach 60-tych domagano się demokratyzacji władz i usprawnienia organizacji badań. Od 1968 zgodnie z zaleceniami Rady Nauki będącej wspólnym organem rządów i uczelni, rozpoczęły się tam reformy, zróżnicowane w związku z federalnym ustrojem państwa zależnie od kraju i uniwersytetu. Zróżnicowanie to utrzymało się w dużym stopniu po dziś dzień, choć po przyjęciu 26 I 1976 federalnej ustawy ramowej o szkołach wyższych, jest mniejsze. Na rozmaitość tą warto zwrócić uwagę, gdyż pozwala ona zbadać różne rozwiązania, a równocześnie wykryć zasadnicze tendencje zmian.

W pierwszych latach po 1968 w poszczególnych uczelniach RFN rządził najczęściej prezydent lub rektor, ale np. ustawy przyjęte w Nadrenii-Westfalii oraz Badenii-Wirtembergii dopuszczały rządy kolegium rektorskiego. W każdym jednak wypadku wybór wymagał zatwierdzenia krajowego ministra oświaty. Statut uniwersytetu w Monachium nie stawia jednak wymogu, aby rektorem był profesor, wyraźnie sugerując, że może nim być wybrany tzw. menadżer nauki, przy czym władza jego jest ograniczona przez kolegium rektorskie w którego skład wchodzi również 3 pracowników naukowych i dyrektor administracyjny.

Liczne kraje przewidziały możliwość tworzenia dwu głównych ciał kolegialnych - kolegium elektorów i senatu. Pierwszemu dawano w takich wypadkach prawo zmiany statutów i przyjmowania rocznych sprawozdań rektora /oczywiście obok wyboru rektora/. Badenia-Wirtembergia dopuszczała w 1973r. także Radę Administracyjną o charakterze doradczym w sprawach planowania i gospodarki.

Liczebność ciał kolegialnych była często dużo mniejsza niż u nas. Kolegium elektorów liczyło w Berlinie Zachodnim 26, Bremie 60, Monachium 60. Szczególnie uderza mała liczebność senatów, do którego w Berlinie wchodzi z wyboru tylko 24 osoby /rektorzy i dyrektor administracyjny mają jedynie głos doradczy!/. W Monachium dla zmniejszenia liczebności senatu przewidziano w ubiegłym roku wybór po 1 profesorze na każde 2 wydziały. Prawdą jest jednak, że niektóre uczelnie utrzymały tradycyjnie większy senat.

We wszystkich uczelniach po 1968 r. rozszerzono lub wręcz stworzono w ciałach kolegialnych szersze przedstawicielstwo młodszych pracowników nauki, często także innych pracowników szkoły, oraz z reguły studentów. Najczęściej dążono jednak do uprzywilejowania ciała profesorskiego, choć nie zawsze oznacza to aż przewagę liczebną. Relacje udziału profesorów asystentów, innych pracowników i studentów mają się w Bremie jak 20:20:20, w Bielefeld jak 7:3:3:3, Freiburgu 40:20:6:30, Monachium 6:2:1:2 /w Bremie brak przedstawicielstwa innych pracowników szkoły/,

gdy chodzi o kolegium elektorów. W senacie odpowiednie proporcje przewidziano w Berlinie jak 11:6:2:5, Bremie 5:2:3:5, ustawie bawarskiej 10:2:1:2 /w tym kolegium rektorów/, Bielefeld 22:10:11, Freiburgu 23:3:3:3. Kierownicy centralnych jednostek organizacyjnych często mają głos doradczy.

Często przewidziano możliwość wyboru przewodniczącego senatu, gdzie indziej funkcję tą powierza się rektorowi, czy prezydentowi. Niektóre uniwersytety wprowadziły ciekawą funkcję wybieranego zastępcy członka senatu, który bierze udział w obradach tylko podczas nieobecności członka /Bonn 1968, Freiburg 1972/. Niektóre uczelnie zdecydowały się wprowadzić wzorem anglosaskim instytucję społecznego nadzoru nad działalnością szkoły. Takie Kuratorium na Uniwersytecie Monachijskim składa się z przedstawicieli władz krajowych, kół gospodarczych, organizacji naukowych i społecznych i liczy 25 osób. Podobna rada istnieje w Bonn.

Za podstawową jednostką organizacyjną szkoły federalna ustawa ramowa uznaje "Fachbereich", którym rządzi organ jednoosobowy /Fachbereichsprecher/ i ciało kolegialne reprezentujące członków jednostki. Jednostka ta spełnia funkcje naszego wydziału i tak też w niektórych ustawach krajowych czy statutach jest nazywana /a organ jednoosobowy dziekanem/. Wydziały te jednak są często bardziej jednorodne niż u nas. Nauki reprezentowane na naszym Wydziale Filozoficzno-Historycznym dzielą się w Monachium na 4 wydziały, te które we Wrocławiu tworzą wydział Matematyki-Fizyki i Chemii w Bielefeld dzielą się na 3 wydziały. Często jest więcej niż jeden wydział filologiczny itp. Dziś krytykuje się, że jeszcze gdzieś gdzie pozostały zbyt różnorodne Fachbereiche. W Berlinie niedawno podzielono wydział łączący teologów, filozofów, socjologów i dziennikarzy.

Niektóre uczelnie w miejsce dziekana dały władzę wydziałem organowi zbliżonemu do naszego kolegium dziekańskiego. W Bielefeld składa się on z dziekana, przedstawiciela profesorów, przedstawiciela asystentów i przedstawiciela studentów. Uprawnienia dziekana są w takim wypadku ograniczone do spraw pilnych.

Twórcom rady Fachbereichu wyraźnie chodziło o jej sprawność i operatywność a także o zapewnienie silniejszej reprezentacji profesorom. W Berlinie ustawa krajowa ograniczyła skład rady do 7 profesorów i do centów, 4 asystentów, 3 studentów i jednego innego pracownika. W Badenii wg. ustawy z 1973 do rady wchodziło rotacyjnie 5 kierowników mniejszych jednostek oraz 6 profesorów, 3 asystentów, 1 inny pracownik. W Bawarii odpowiednio 7,2,1,2. Gdzieś gdzie utworzono -no jeszcze instytucję ogólnego zebrania pracowników wydziału, rozstrzygającego zasadnicze kwestie i przyjmującego sprawozdania dziekana, ew. wybierającego członków senatu /Technische Hochschule Aachen 1974, Uniwersytet Bonn 1969/.

Zgodnie z sugestiami Rady Nauki pewne ustawy i statuty przewidują tworzenie odrębnych "komisji studiów", złożonych po połowie z pracowników nauki i studentów, które mają dyskutować programy i regulaminy studiów, dydaktykę i inne sprawy studenckie, ale ostateczne decyzje pozostawiają najczęściej radom wydziału /Freiburg, Brema, Berlin/.

Wiele ustaw, a nawet statutów nie precyzuje podziału organizacyjnego w ramach wydziału. Statut uniwersytetu fryburskiego z 1973 dopuszcza tworzenie

różnych jednostek zastrzegając tylko, że kierownictwo ich musi być albo kolegialne, albo rotacyjne. Dla instytutów i seminariów przewiduje się też obowiązkowo zebranie pracowników. Wyższa Szkoła Techniczna w Akwizgranie przewiduje podział na tzw. Fachabteilungen z kierowniczym organem jednoosobowym i radą do której wchodzi poza profesorami i docentami przedstawiciele asystentów i studentów.

W większości ustaw przewidziano możliwość tworzenia za zgodą senatu tymczasowych jednostek badawczych dla wykonania konkretnych zleceń /Sonderforschungsbereich/, której uczelnia zobowiązana jest przydzielić odpowiednie siły.

Jak spisują się uczelnie oparte na nowych zasadach w sytuacji, gdy upłynęło już przeszło 10 lat od pierwszych reform? Sprawą tą zajęła się wiosną br sesja Stowarzyszenia Szkół Wyższych RFN oraz prasa.

Przewodniczący stowarzyszenia w wywiadzie dla prasy stwierdził, że uczelnie nowego typu zdaniem większości uczestników sesji nie spełniły pokładanych w nich oczekiwań. Nie złądziły konfliktów kastowych w szkołach. Doprowadziły do długotrwałych sporów i siłą reprezentacji poszczególnych grup akademickich w ciałach kolegialnych, do walk o interesy grupowe i rozgrywek na zasadzie "ja dam ci, ty mnie" które zaczęły przysłać sprawy naukowe w ciałach kolegialnych. Wyniki pracy merytorycznej w rezultacie osłabły. Z ciał kolegialnych zaczęli się wycofywać ambitniejsi uczeni nie widząc w nich forum dla prawdziwych dyskusji naukowych. Szczególną aktywność w nich zaczęli odgrywać młodzi pracownicy nauki o słabszych ambicjach naukowych a zamykaniu do działania innego typu.

Podkreśla się zwłaszcza, że nowy uniwersytet cechuje zbyt skomplikowanie procesów decyzyjnych, osłabienie kompetencji i odpowiedzialności ciał jednoosobowych, co często prowadzi do bezwładu i letargu w uniwersytecie zwłaszcza w nierealnych sytuacjach, w których praca w ciałach kolegialnych jest uważana za zbędny ciężar. W rezultacie zamiast ustawowych ciał kolegialnych powstały w wielu wypadkach nieformalne gremia decydujące o najważniejszych sprawach w ciszy gabinetów, które nie kryją, że pozwalają innym "odgrywać demokrację".

Aktualna organizacja szkół wyższych czyni je poza tym bardziej podatnymi na wpływy polityczne /wręcz mówi się, że uniwersytety dzielą się w RFN na rozpolitykowane i popadłe w letarg/, przenosi walki partyjne na forum uczelni. Dla licznej grupy studentów działalność w ciałach akademickich stała się polem doświadczalnym walki o władzę, odszkodnią do późniejszej kariery politycznej.

Bezwład organów demokratycznych ku ubolewaniu profesorów ułatwia też państwu stopniowe przejmowanie ich kompetencji zwłaszcza przy nominacjach, statutach, regulaminach, budżetach. Coraz więcej spraw rozstrzygają zarządzenia ministerialne. W 1977r. minister oświaty Badenii-Wirtembergii wydał 11-stronicowe // zarządzenie o sposobie przeprowadzenia wyborów do ciał kolegialnych uniwersytetów krajowych

Powszechnie uważa się, że jakieś zmiany są konieczne, choć czasowo nie planuje się zmiany ustawy federalnej. Konferencja szkół wyższych postulowała zwiększenie kompetencji ciał jednoosobowych, zmianę zasad współdecydowania poszczególnych grup społeczności akademickiej, zmniejszenie ilości ciał kolegialnych oraz redukcję i racjonalizację administracji, która i w RFN staje się przekleństwem uczonych.

Wydaje się, że wnioski powyższe wartyby wziąć pod uwagę przy opracowywaniu naszych ustaw i statutów uczelnianych.

Marek Czapliński

Poznańscy robotnicy
gremialnym podjęciem pracy
dokumentują swe stanowisko
wobec zbrodniczych zakusów
faszystowskich prowokatorów

Świat zupełnie w starym stylu

Oni są przecież zdolni do wszystkiego.

A. Siwak w wywiadzie dla "Rudeho práva"/74/
/o "Solidarności"/

Moje poczucie rzeczywistości jest ostatnio wystawiane na szwank. Przez polski przemysł filmowy. I to wcale nie z powodu obejrzenia filmu p.t. "Polonia Restituta". Film, który funduje mi zachwianie zdrowych zmysłów, dopiero się kręci. Się kręci na mojej ulicy - starej, chyba jeszcze dziewiętnastowiecznej, postrzelanej i przez cały okres powojenny nietynkowanej. Ot, taka sobie stara ulica, już prawdopodobnie w pewnym stopniu będąca zabytkiem eklektycznej architektury. W Wiedniu czy Pradze miałyby szanse na nowe tynki i remont - we Wrocławiu tej szansy nie ma. Ale ad rem: na mojej ulicy filmowcy /a plotka uliczna - dawniej: wieść gminna - niesie, że szefem od tego filmu jest Agnieszka Holland /ustawiają s z t u c z n e k o l e j k i. Przede wszystkim do drogerii na rogu. O tym, że ogonek jest nienaturalny, przekonują się ci, którzy z nadzieją pytają końca ogonka, kiedy wreszcie będą sprzedawać ten proszek? Koniec kolejki odpowiada: "Panie, my tu stoimy za pieniądze!" A do tego po ulicy lata aktor z siatką /chyba bohater filmu/, w której daje się zaobserwować pół bochenka chleba i rolka papieru toaletowego. Wzbudza oczywiście, skądinąd zrozumiałą - sensację. W sumie - czysty surrealizm. A może socrealizm? Nie wiadomo.

Do rzeczywistości przywołuje mnie parę spraw. A między innymi - wszelkie wypowiedzi Albina Siwaka, zastępcy członka KC, brigadzysty budowlanego w KBM Warszawa-Wschód. Dużo było ostatnio Albina Siwaka w tzw. publikatorach. Jak w starym dowcipie: otwieram radio - Siwak, otwieram telewizor - Siwak, otwieram gazetę - Siwak. Aż się, psiakrew, boję otworzyć lodówkę! Dowcipy dowcipami, a towarzysza Siwaka rzeczywiście w publikatorach nadmiar. Lansuje się go jako sztandarowego przedstawiciela polskiej klasy robotniczej. Taki nowomodny - odnowowy oszkówek z ... Właśnie, z czego? No, chyba jednak nie z marmuru? W każdym razie z pryncypialnym bryskiem w oku towarzysz Siwak potępia, każe i stawia wnioski. Oczywiście. Jak przyznak w wywiadzie dla zasłużonych w krzewieniu uczuć antypolskich dziennikarzy czeskich, Lipavský'ego i Minařika, zdaje się o bie sprawę z ogromnego niebezpieczeństwa, jakie mu ze strony "Solidarności" zagraża - nie tylko zresztą jemu, ale przede wszystkim jego rodzinie. Dalej w tymże wywiadzie /znanym zresztą czytelnikom "Kommunikatów" z numeru z dnia 9 kwietnia/ stwierdza Siwak z radością, że członkowie "Solidarności" wypowiedzieli posłuszeństwo swoim przywódcom. Przedstawił się również czytelnikom czechosłowackim jako czujny wykrywacz tych, którzy chcieliby obaleńca ustroju socjalistycznego. Godna podziwu czujność w tępieniu wroga pewnikiem klasowego. Nie wiem jak Czytelnikom, ale mnie to coś przypomina - mieliśmy już taki okres w powojennej historii naszego kraju, kiedy właśnie czujność tego typu zastępowała inne walory moralne. Na XI plenum KC Siwak stwierdził: "Bardzo źle się stało, że nie stać nas było do tej pory i dalej nie zanosić się na weryfikację w partii". Włos się jeży i bezpartyjnym. "Weryfikacja szeregow partyjnych" kojarzy się z dosyć nieciekawymi historycznie latami czystek partyjnych. Że co to obchodzi bezpartyjnych? Ano jak śpiewał nieodżałowanej pamięci Włodzimierz Wysocki:

"My rubim les, i Stalinskije szczepki
kak rańsze wo wsie storony letiat".

co mniej więcej - ale tylko mniej więcej! - znaczy: "Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą". A po za tym jeżeli może mieć poglądy towarzysz Siwak, to inni towarzysze mają chyba to samo prawo?

Jest jeden jeszcze problem, który Siwakowi spędza sen z utrudzonych powiek: "Solidarność". Jak sam stwierdził, "kierownictwo naszej partii powinno do niego wstępować", Siwak wie również, że przeważająca większość polskich robotników opowiedziała się za "So-

lidarnością". Zwalcza jednak nasz Związek gdzie może, nie bacząc nawet na to, że jego wystąpienia w niezbyt ciekawy sposób prezentują tę właśnie klasę robotniczą, której przedstawicielem się czuje. Skutek tego jest taki, że nazwisko Siwaka łączyć zaczęto z "Grunwaldem" i katowickim forum partyjnym. Człowiek z niewiadomo czego, udzielając poparcia temu ostatniemu - albowiem sposób bycia Albina Siwaka jest sposobem bycia dygnitarza, który "udziela poparcia", nie człowieka pełnego pokory wobec tych, których reprezentuje - nie zastanowił się chyba, dlaczego właśnie on kojarzy się dziennikarzom ze zjawiskami, budzącymi ostry sprzeciw Polaków.

Dziwny to przedstawiciel klasy robotniczej, który walczy wszelkimi siłami z robotniczym związkiem zawodowym... "Gubi nas demokracja" - powiedział na X plenum Siwak. Ano rzeczywiście, gubi. Nie w ten jednak sposób, jaki miał Siwak na myśli. Wyrażne ciągotki w stronę "żelaznej władzy" nie bardzo dają się chyba pogodzić z interesem klasy robotniczej, z interesem wszystkich Polaków. Silna władza - tak, żelazna władza - nie! - chciałoby się zakrzyknąć. "Żelazną" mieliśmy władzę w Grudniu - i gwałt się gwałtem odcisnął. Proponuję, żebyśmy o tym nie zapominali.

Jedną jeszcze obsesję ma Albin Siwak - zbyt mało robotników wśród delegatów na IX Zjazd. Cudowną rzeczą był klucz wyborczy, nieprawdaż, panie Albinie? Prezer, 47 lat, dwoje dzieci, żona sprzątaczką, rudy, zezowaty na lewe oko i z lewą ręką o trzy centymetry krótszą - i już był kandydat do wybrania!

Proste, nieprawdaż? A teraz - same kłopoty. Co prawda, owe troskania brzmią mi nieco demagogicznie - bo chyba o losach tego kraju winni decydować ci, do których ludzie mają zaufanie, niezależnie od tego, jaki jest ich zawód i status społeczny. Zresztą kto to jest dzisiaj robotnik? Frezer? Inżynier-brygadzi- sta? Sprzątaczką?

Tak w ogóle rozumując trzeźwo, to nie należy się chyba nadmiernie przejmować poglądami tow. Siwaka - człowieka, na siłę chcącego chyba zostać męczennikiem odnowy /te krwawe napaści "Solidarności" te zamachy przy pomocy butelek z benzyną.../. Jedną mam tylko wątpliwość - kto reprezentuje ludzi pracy w Polsce - wybierani przez nich bez klucza /bo Siwak, pamiętajmy, był robotnikiem z klucza we władzach/delegacji i olbrzymi robotniczy związek zawodowy czy ci, którzy z tymi społecznymi zjawiskami walczą?

Anita Tyszkowska-Gosk

P.S. W felietonie wykorzystałam wypowiedzi A. Siwaka na X i XI plenum, publikowane przez "Trybunę Ludu".

P.S. Okazało się, że pamięć mnie zawiodła - o tyle jestem usprawiedliwiona, że nosiłam jeszcze wtedy tzw. "koszulę w zębach" - Henryk /nie J./ Tysoner był naczelnym Kuriera Polskiego, a nie, jak pisałam, Trybuny Ludu. Przepraszam, postaram się więcej w ten sposób nie mylić.

atg

opinie

OPINIE

"Zbiórka odpadów żelaznych - informuje "Przegląd Techniczny", nr 21 - i ich sprzedaż do złomowni jest jaskrawym przykładem mentalności dotychczasowych zarządców naszej gospodarki: lepiej żeby gospodarka straciła miliony niż gdyby nieco ludzi zarobiło grosze. Jednym z odpadów jest żużel hutniczy wyrzucany na olbrzymie hałdy wokół hut. Do tego żużla przenikają kawałki żelaza, nierzadko czystego, w postaci tzw. skrzepów.../Zbieranie.../i ponowne kierowanie skrzepów do przetopu byłoby procederem opłacalnym dla gospodar-ki i niosącym poważne oszczędności na rudach i na transporcie. Ale nie, nie wolno zbierać, sprzedawać i kupować skrzepów.../Dostęp do hałd dozwolony jest wyłącznie nielicznym przedsiębiorstwom, które jednak czerpią żużel do budowy dróg/przy okazji czyste żelazo ze skrzepów zakopują pod jezdniami/ i nie mają ani sprzętu, ani ludzi do wybierania skrzepów. Osobom prywatnym, zbieraczom złomu, wara od hałd, mogliby na skrzepach za dużo zarobić. Przepisy są surowe - zbior- nicy złomu muszą uzyskać każdorazowo zgodę jednostki nadrzędnej, Przedsiębiorstwa Przerobu Złomu Metali, zanim mogą kupić nieco skrzepów. Chodzi wyłącznie o to, by prywatni zbieracze nie zarobili na złomie, choć to mogłoby gospodarce narodowej przynieść spore korzy- ści. Piszemy o tym aż tyle - komentuje "Przegląd" - bowiem przypadek ten charakteryzuje aż nadto wyraźnie, czym kierują się także i w wielu innych dziedzinach decydenci z centrum".

W skali ogólnopolskiej, skutki takiej polityki są opłakane. "Jaki jest - pisze "Przegląd" - obecnie stopień atrofii drobnego przemysłu w Polsce, niech zilustrują następujące dane, podające liczbę zakładów przemysło- wych zatrudniających mniej niż 100 pracowników na ka- żde 10 zakładów zatrudniających ponad 100 pracowników. Jest ich: w Polsce - 1, w NRD - 10, w Japonii - 40, w RFN - 70.../ W procesie likwidacji drobnego przemys-łu również aktywni, odważni, samodzielni i twórczy li- derzy małych form przemysłowych ulegli likwidacji oraz degeneracji i demoralizacji. Jedni szli w podziemie ekonomiczne, inni spadali do roli rzemieślników czy wyrobników, a reszta wnikała w biurokrację wielkoprze- mysłową.../ Dodajmy, że to przerażające w swych gospodarczych skutkach dzieło było w wielkiej mierze zasługą lekceważącej ponoć sferę ideologii, "prag- matycznej" ekipy pogrudniowej. Można sobie wyobrazić, jakie zniszczenia pozostawiłaby po sobie ekipa mniej

pragmatyczna.

Po raz pierwszy od 9 miesięcy napisał Urban coś do rzeczy. Skrytykował mianowicie "forum katowickie". "W PZPR - zdaniem autorów "deklaracji" forum"- do- minują tendencje: rozbijackie, likwidatorskie, rewizjo- nistyczne, prawicowo-opportunistyczne, frakcyjne, libe- ralno-burżuazyjne, trockistowsko-syjonistyczne, nacjo- nalistyczne, agrarystyczne, klerykalne, solidaryzmu klasowego, prawicowe i antyradzieckie. Wyzyskano więc i zastosowano jako epitety niemal wszelkie zjawiska, jakie ruch komunistyczny kiedykolwiek zwalczał. Po raz pierwszy zebrane razem tracą wszelki sens znaczeniowy, zresztą nie są uzasadniane.../Trudno więc oprzeć się wrażeniu - pisze Urban - że ten ich marksizm-len- inizm pojmują jako zbiór zaklęć magicznych.../. Spo- strzeżenie to wydaje się trafne, co więcej, można wskazać co najmniej kilku naszych uniwersyteckich ko- legów, do których pasowałoby jak ulał. Ale w deklaracji "forum" nie wszystko jednak Urban zrozumiał. Nie zrozumiał mianowicie, jak taki "czyszcutki marksizm- leninizm praktykować wbrew partii, wbrew KC i społec- zeństwu?.../Autorzy deklaracji nie prezentują żad- nego realnego pomysłu". Czyżby? O co naprawdę chodzi inspirowanym "forum", wskazuje J. Doliński z "Gazety Robotniczej": jest to ".../stawka na restaurację dykta- tury typu stalinowskiego i rozprawienie się z ruchem socjalistycznej odnowy przy pomocy z zewnątrz.../Gaze- ta Rob.", nr 109, "Polityka", nr 23./Prawda, że to proste?

W wywiadzie udzielonym "Solidarności", nr 9, członkowie ogólnokrajowych władz NZS tłumaczyli, dla- czego niedawny zjazd NZS nie uchwalił deklaracji ide- owej. Zaczęło się od tego, że autorzy krakowskiego projektu deklaracji odwołali się do takich pojęć, jak: naród, państwo, czynna obrona naródowa"co niektórym uczestnikom od razu kojarzyło się z endecją, a więc - niestety - również z żyłetką i kastetem. Jak wyjaśniał J. Guzy:"Tu nie chodziło o słowa. Deklaracja Zadenkie- go/krakowska/ umieszczała nasz ruch w perspektywie historycznej, i to bardzo głębokiej, a koncepcja alte- rnatywna M.Gugulskiego, M.Kuronia, i T.Klinowicza by- ła tak drastycznie zaważona, że uniemożliwiała odwoły- wanie się do jakiegokolwiek tradycji innej niż ta, wy- rosła po 1975 r., związana z opozycją demokratyczną, Studenckimi Komitetami Solidarności, niezależnymi wy- dawnictwami". W efekcie deklaracji nie przyjęto - może i dobrze, jeśli jej sformułowania mogłyby doprowadzić do odejścia od NZS części członków. W świetle statutu określającego NZS jako organizację apolityczną i aide- ologiczną, w ogóle cała dyskusja wokół deklaracji ide-

owej wydaje się mało celowa i zrozumiała.

"Gazeta Robotnicza", nr 113 z 10.VI.81 r. informuje iż: "W trakcie, gdy trwała kampania o uwolnienie aresztowanych przywódców" KPN, "niektórzy działacze MKZ wrocławskiego" mieli przyznać, że "Moczulski, Jan-dziśiak i inni z KPN to gangsterzy polityczni". Chciałoby się wierzyć, że ta informacja nie jest ścisła. Przecież tego rodzaju wypowiedzi odbierane są przez zainteresowanych nimi przedstawicieli władz jako polityczna oferta. Chłuby naszemu Związkowi nie przynoszą.

piszą o nas

Feliks Kuzniecowa

Cena siniaka pana Rulewskiego

Jedyną siłą, która poważnie przejęła dziś odpowiedzialność za sytuację w kraju, za dramatyczne dziś i nie mniej trudne jutro jego gospodarki, za konstruktywne wyjście, wyprowadzenie kraju z tak ciężkiego kryzysu, stała się Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

Partia zaproponowała otwarte, uczciwe partnerstwo w poszukiwaniu dróg wyjścia z kryzysu i odnowie kraju wszystkim prawdziwie patriotycznym, trzeźwo myślącym, humanistycznym siłom, zatroskanym o losy kraju i narodu, szczerze zainteresowanym socjalistyczną odnową Polski.

"Zwracam się z prośbą o trzy pracowite miesiące, o 90 spokojnych dni - mówił prezes Rady Ministrów PRL, generał armii W. Jaruzelski na lutowej sesji Sejmu. - Chcemy wykorzystać ten czas na uporządkowanie najbardziej podstawowych problemów naszej gospodarki, na podsumowanie dodatkich i ujemnych czynników, przedsięwzięcie najpilniejszych posunięć, na określenie i rozpoczęcie realizacji programu stabilizacji gospodarki oraz daleko idącej reformy gospodarki".

Precyzyjne i rzeczowe przemówienie generała Jaruzelskiego zostało z uwagą wysłuchane przez cały kraj, wywarło głębokie i silne dobroczynne wrażenie na całej Polsce.

Ale i tu znalazły się siły, które z jeszcze większym zacietrzewieniem kontynuowały swoją destrukcyjną robotę. Przy czym za zewnętrzną, pozorną żywiołowością dawała się wyczuć twarda ręka kierownictwa.

Ta wojna psychologiczna być może w większym stopniu niż cokolwiek innego ujawniała sekretne, rzeczywiste cele wrogów socjalizmu w Polsce, którzy doskonale rozumieli, że konstruktywna, powszednia, prawdziwie związkowa praca na rzecz normowania życia gospodarczego w kraju szybko zdemaskuje ich rzeczywiste oblicze.

Bo rzeczywiście, po co te 90 spokojnych dni, które niewątpliwie pomogą w gospodarczej i politycznej stabilizacji socjalizmu w Polsce jakimś tam /kakomu- nibud'/ Janowi Rulewskiemu?

W młodości relegowany z technicznej szkoły wojskowej i zdegradowany do szeregowca, Rulewski zdezerterował z wojska, próbował uciec za granicę, został schwytany, osądzony i cztery lata przesiedział w więzieniu. Tego właśnie historycznego, nieźrównoważonego mężczyznę, który nienawidzi socjalizmu i którego wyniósł do góry na wzburzonych falach sierpień roku 1980, ekstremiści z "Solidarności" upatrzili sobie do roli "rębacza" /zabojszczyk/ w znanych wydarzeniach bydgoskich, które dosłownie doprowadziły kraj na krawędź katastrofy gospodarczej i po-

litycznej.

Nie będę wdawał się w szczegóły tych wydarzeń, o których już w naszej prasie pisano, podobnie jak nie będę dociekał pochodzenia siniaków pana Rulewskiego, które spowodowały strajk "ostrzegawczy", który omal nie przekształcił się w strajk powszechny w Polsce.

Powiem tylko, że wpatrując się w zadowoloną z siebie twarz Jana Rulewskiego, którą w dużych zbliżeniach transmitowała telewizja ze szpitala, w jego podbite limo - człowiek zastanawiał się, skąd się to podbite limo wzięło, skąd ten siniak, który wyskoczył z jakichś niejasnych powodów, powodów, których można się jedynie domyślać. Człowiek zastanawiał się też z niepokojem i zdumieniem nad czymś innym: czyżby to podbite limo Rulewskiego mogło kosztować Polskę taką ogromną - 4,2 miliarda złotych za czterogodzinny strajk "ostrzegawczy" - sumę pieniędzy?

Każdego musi zaskakiwać i zdumiewać, jak dalece wszetecznie /raspuszczenno/, nonszalancko i agresywnie zachowują się kumple i protektorzy Rulewskiego.

W niektórych okolicach dokonano już "spisu" miejscowego aktywu partyjnego, kierownictwa zakładów pracy oraz funkcjonariuszy milicji i organów bezpieczeństwa - chyba nie po to, aby zapewnić im "nietykalność cielesną". Kiedy widzi się rozrzucane i rozklejane po całej Warszawie i innych miastach setki, tysiące ulotek wymierzonych w organy ochrony spokoju publicznego i porządku ze złośliwymi karykaturami i pełnymi gróźb podpisami, kiedy słyszy się o znakach roblonych na drzwiach komunistów, zaczyna się rozumieć, że tutaj, jak to się mówi, pachnie nie podbitymi limami.

Zrozumieć związku między siniakiem pod okiem pana Rulewskiego a tymi dramatycznymi wydarzeniami, które wstrząsały Polską akurat w czasie naszego tam pobytu, nie sposób, jeśli nie weźmie się pod uwagę owego politycznego "amoku", przy pomocy którego ekstremiści trzymają kraj w napięciu.

Ekstremiści z kierownictwa "Solidarności", wykorzystawszy ten, w gruncie rzeczy, drobny incydent uczynili wszystko, aby zaprowadzić Polskę na brzeg przepaści, postawić kraj na krawędzi strajku powszechnego, a kiedy nic z tego nie wyszło, zaatakowali wściekle już nie tylko partię, ale również tych swoich kolegów z "Solidarności", którzy, wykazawszy rozwagę, zdecydowali się na pertraktacje z rządem w celu zapobieżenia strajkowi.

Rozzuchwaleni awanturnicy, postawiwszy Polskę wobec niebezpieczeństwa strajku powszechnego z katastrofalnymi dla kraju, niemożliwymi do przewidzenia skutkami, być może po raz pierwszy od sierpnia roku 1980 z taką jasnością i wyrazistością obnażyli przed masami pracującymi Polski i zdrowo myślącymi siłami w "Solidarności" swoje prawdziwe oblicze.

/Literaturna gazeta nr 20/ tłum. atg

**Krwia przelana w Poznaniu
obciążamy wrogie Polsce
ośrodki imperialistyczne i podziemie
— stupierdają w licznych rezolucjach
robotnicy zakładów pracy
z całego kraju**

Warszawa PAP

In.: „Chcemy odnie sprawę, że mi-
śle w Poznaniu nie przyczyni-
ł się do poprawy warunków by-
towych, w naszym kraju, i
przebudzenie — przynajmniej w te-
go. Wierzymy że Wasza siostra w-
ciągnie z tego faktu wiadomość dla
swej własnej pracy.

redagują: S. Cieśla, J. Drozd, T. Jakubowski, K. Kawalec, W. Suleja
A. Tyszkowska-Gosk, G. Zipold-Materkova

Redakcja techniczna: J. Bojanowski, J. Nawojczyk

Adres redakcji: 50-139 Wrocław, ul. Szewska 50/51, pok. 4. NSZZ "Solidarność"